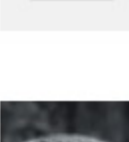



Paroles, paroles, paroles...


JULIUSZ TYSZKA

Profesor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, doktor habilitowany: Teatrológ,

 **Lubię to!** 50

A A



Na scenie króluje słowo – fachowo wypowiediane, podkreślane dyskretną mimiką i oszczędnym gestem. Poza tym – prawie nic: cztery czarne chszla z jasnymi okratowanymi trójkątami na oparczach, czarne ściany w tle i po bokach, a na podłodze biały wzór – ogrodowa mozaika? Podłogowa intarsja?

Rzecz dzieje się w Danii (wymieniona jest jej stolica Kopenhaga), w dobrze sytuowanym mieszczańskim środowisku. Przez godzinę i dwadzieścia minut troje bohaterów – małżeństwo oraz przyjaciel domu – rozmawia, kłóci się, rozważa na trzy głosy sprawy zasadnicze, międli pierdoly i pieprzy banały, wciąż

mówiąc, gadając, plotąc i gwajdając, raz z sensem, raz bez sensu – jak to w życiu i w sztukach.

Iwan Wyrpajew stosuje tu swój sprawdzony chwyt – wytrącenie bohaterów (jak to zwykle u niego, przeciętnych „strasznym mieszczan”) z ich „paranormalnej”, codziennej rutyny przez pojawienie się w ich życiu czegoś niezwykłego, niewytłumaczalnego, wymykającego się zdrowemu rozsądkowi tudzież innym aktualnie racjonalnym regułom określającym granice ich powszedniej normalności. Okazuje się bowiem nagle, że ktoś może pojawić się w dwóch miesiącach jednocześnie! I że oba jego pojawienia się są udokumentowane jak najbardziej wiarygodnymi świadectwami kilku osób, które trudno podejrzewać o zaburzenia psychiczne. No i zaczyna się „filozofująca jazda bez trzymanki” – od pytań o Boga i sens (takiego) życia do zwalania winy za wszystkie nienormalności i odchylenia całej tej „zagnatwaniny” na bębniące o parapet krople deszczu; od narzekania na zmęczenie egzystencjalną pustką i licznych szokujących wyznań (nie tylko romanse pozamałżeńskie, ale i np. wspólne zjedzenie przez małżonków odciętego w wypadku wskazującego palca żony – ot, tak, z ciekawości) po wielokrotnie przywoływane na zasadzie refrenu i leitmotivu banalne, pretensjonalne, „ni z gruchy, ni z pietruchy” tytułowe „letnie osy, które kłują nas nawet w listopadzie”. Momentami nasuwają się tu dalekie dekonstrukcyjne skojarzenia z *Lysą śpiewaczką* czy *Lekcją* Ionesco – mieszczańska zasada racjonalności świata jest w sztuce Wyrpajewa również wielokrotnie wywracana na nice. Tyle że tutaj, w Szczecinie, w roku 2015 wydaje się tu wszystko mniej spójne i sprawne literacko, no i powtórzone po sześćdziesięciu kilku latach tudzież po bardzo wielu innych mniej lub bardziej podobnych, często dużo brutalniejszych usiłowaniach – że przywołam (owszem, na zasadzie strzału z przysłowiowej grubej rury, ale co mi tam) dramaty Jelinek, Schwaba czy Kane, przy których ta Wyrpajewowska „konfekcja dekonstrukcyjna” wędnie i błednie. Bo tutaj owa egzystencjalna „jazda po bandzie” przypomina w swej dynamice raczej popisy bobsleistów jamajskich niż europejskich, a dramaty trojga bohaterów, przeżywane (precyzyjnie): przegadywane na scenie i oglądane (czytaj: cierpliwie wysłuchiwanie) przez szczecińską publiczność tu i teraz, są jednak chyba coś jakby niestety banalne. A poza tym nasz polski mieszczański świat już tyle razy wywracano na nice (w moim pokoleniu co najmniej czterokrotnie), że możemy co najwyżej zareagować dyskretnym, stonowanym śmiechem na kilka szczególnie groteskowych fragmentów Wyrpajewowskiego dialogu – tak jak to uczynili widzowie (w większości niemłodzi) na oglądanej przeze mnie spektaklu w niedzielę 13 września. Czyli: w kwestii fabuły, akcji oraz przesłania tej sztuki nie ma się czym specjalnie ekscytować.

Warto natomiast pochylić się baczniej nad jej sceniczną realizacją. Reżyserka Anna Januszewska (grająca rolę Sary) poprowadziła siebie i swoich dwóch kolegów w bardzo ciekawy sposób, unikając sztamp i nadekspresji. Bardzo mi się podobała mimika wszystkich trzech postaci, a fizjonomia Grzegorza Młodzika (grał niejakiego Donalda) była w wielu momentach, rzekłbym, bardzo (mnie) przekonująca. Dlaczego? Młodzik był jednocześnie poważny i błazeński, bardzo serio skoncentrowany na bezsensownych dialogach, a zarazem tłumiący swój wewnętrzny śmiech. Jego odchyłona do tyłu, już-prawie-roześmiana twarz, zastępyła w prawie-już-ironicznym grymasie, przeciwstawiając się już-niemal-otwarcie dialogom, których był uczestnikiem – snuty na ogół (choć nie zawsze) w tonie skupionym i poważnym, co oczywiście nie przekreślało ich zużycia, banalności, literackiego „seconhandyzmu”. W sumie, mówiąc krótko, powszednio i brutalnie: wiadomo było z grubsza, że aktor robi sobie jaja ze swojej postaci, ze sztuki, z jej pozornych i „podwójnych denek” i z jej przesłania, od dziesięcioleci „teatralnie przeżywanego”, ale formalnie nic mu nie było można zarzucić, bo świetnie udawał bardzo rzetelną grę, pozornie „dając z siebie wszystko”, tak jak trzeba. Np. kilkakrotnie wyznania Donalda, że jest zmęczony wszystkim – literalnie wszystkim, całym swoim życiem, nawet swoim spaniem i odpoczywaniem – uważam za jeden z lepszych, wiarygodniejszych fragmentów nie tylko tekstu sztuki, ale i spektaklu. (Tyle że jest to, moim zdaniem, fragment ciężący ku wiarygodności realistycznej, jeden z kilku ciut na siłę dolepionych do demolersko-dekonstruującej całości, istniejącej odrębnie, poza konstrukcyjnym szkieletem dramatu i spektaklu; jakby sztucznie „dolepiony” do całości literackiej kompozycji, stanowiący jedną z licznych dość bocznych odnog krętej trasy, na której uprawiana jest wspomniana „jamajska jazda po bandzie”). Gra Młodzika była, moim zdaniem, dokładnie taka jak trzeba, jeśli chodzi o interpretację tej postaci i tego tekstu – widzowie to docenili, obdarzając tego właśnie aktora największą dozą koncentracji.

Sara Anny Januszewskiej była najbardziej z tych trojga powściągliwa i stonowana w swej ekspresji. W jednym tylko fragmencie – monologu o wymarzonej przez siebie społecznej pozycji kobiety – pozwoliła sobie na odrobinę (ale tylko odrobinę) swobodniejszej ekspresji. Zresztą monolog ten, podobnie jak wiele innych fragmentów Wyrpajewowskiego tekstu, stanowi bardzo trudne zadanie aktorskie, bo nie wiadomo, czy jest pisany na poważnie, czy dla śmiechu. „Kobięca natura” oraz idąca w ślad za nią wymarzona przez Sarę społeczną pozycja kobiety są tu pojmowane już nawet nie tyle na dziewiętnastowieczny „mieszczańsko-buddenbrookowski” sposób, ile wręcz na sposób patriarchalno-wspólnotowo-pierwotny. I znowu miałem w tym momencie trwania spektaklu (podobnie jak w wielu innych) wrażenie, że Wyrpajew popełnił tu „dramaturgiczny kolaż”, wklejając do tekstu sztuki jakieś luźne, teoretyzujące notatki, z którymi nie miał co robić, a chciał je jakoś wykorzystać. Bo skąd nagle takie naznaczone filozoficznym naturalizmem rozważania w ustach wyzwolonej duńskiej mieszcżanki? No, chyba że ona też jest już bardzo zmęczona i zniesmaczona sobą i otaczającym ją światem, znużona trzydniowym, nieustającym intensywnym deszczem, a na dodatek jeszcze „wewnętrznie ukąszona” żądłem letnio-listopadowej osy. Filozofujące farmazony jako efekt mieszczańskiego „überspleenu”? Ziewać się chce!

Januszewska była także i w tym monologu jakby trochę niezdecydowana, czy „ruszyć do boju” z mimiką, czy pozostać przy niewzruszonej absurdalnymi wypadkami masce z poprzednich scen. I na szczęście aktorka-reżyserka nie zdecydowała się także i tutaj naruszyć chwalebnej równowagi między ową maską a groteskowym wykrzywianiem się, bo w sumie to tak do końca nie wiadomo, czy ta sztuka jest napisana poważnie, czy „dla śmiechu”. Czysta wyrpajewszczyzna. Która to już?

Z kolei Jacek Piątkowski jako Robert stworzył postać najbardziej ekspresyjną, nie unikając mimiczno-gestywnych fajerków, wygibów i „wykrzywów” (tyle że dawkując je, mimo wszystko, umiarkowanie i nienachalnie). Nic dziwnego, bo to on dźwigał konsekwentnie, w zgodzie z tekstem sztuką, zadanie rozwikłania podstawowej egzystencjalnej zagadki, będącej osądą dramaturgiczną spektaklu: w jaki sposób brat Roberta mógł znaleźć się jednocześnie w dwóch miejscach?

Ciekawie rozwiązana jest scena końcowa, gdy wszyscy troje z bohaterskim uporem usiłują przetrwać „wewnętrzne ukąszenia” letnich listopadowych os, wznosząc cichutkie, niewzruszone w swej powściągliwości okrzyki bólu i nie wykrzywając swych fizjonomii w żadnym ekspresyjnym grymasie. To jest już szczyt eleganckiego dystansu wobec treści i mętnawego przesłania sztuki Wyrpajewa. Czy o to chodziło dramaturgowi? Może tak, może nie – nieważne. Ważne, że o to chodzi nam – współczesnej mieszczańskiej publiczności, z naszą zdekonstruowaną, ponowoczesną, postkolonialną, postdramatyczną, postrealistyczną wrażliwością i takim właśnie postrzeganiem świata. Więc jeśli już koniecznie Wyrpajew, to właśnie tak!

Anna Januszewska wyciągnęła z tekstu rosyjskiego dramaturga bardzo wiele, może nawet wszystko, co się z niego da na scenie wyciągnąć. Zarówno ona, jak jej dwaj partnerzy nie popadli ani w realistyczną nudę, ani w groteskową płąsawicę, odsłaniając przewrotnie całą banalność dramatu, bawiąc się jego słabo domkniętą formą; a w ramach „ekstra-bonusu dla widzów” wyciągając z niektórych jego (nielicznych, niestety) fragmentów – ich egzystencjalną prawdę i głębię. Mała Scena Teatru Współczesnego ma więc do zaoferowania swej wypróbowanej publiczności chwilę śmiechu, chwilę zadumy nad losem, a czasem nawet chwilę głębszej refleksji nad życiem. Czyli rozrywkę – taką momentami bardziej wysmakowaną i wyrafinowaną, ale nic ponadto. Może na dzisiaj to starczy?

P.S. Jako recenzent jestem w lekkiej konfuzji, bo imiona trojga bohaterów wymawiane na scenie absolutnie się nie zgadzają z ich imionami wymienionymi w programie. Na scenie jest Januszewska-Sara, w programie – Helene, podobnie jest z Robertem-Markiem Piątkowskiego i Donaldem-Josephem Młodzika. Co jest napisane, nie jest grane!

To jeszcze nie wszystko: w programie szczeciński spektakl określany jest jako prapremiera sztuki Wyrpajewa, podczas gdy kilka kliknięć ujawnia nam bez żadnych wątpliwości, że jej prapremiera odbyła się już 24 kwietnia 2015 roku w Teatrze Dramatycznym Miasta Stołecznego Warszawy (Scena na Woli).

21-09-2015

Teatr Współczesny w Szczecinie

Iwan Wyrpajew

Letnie osy kłują nas nawet w listopadzie

przekład: Agnieszka Lubomira Piotrowska

reżyseria, kostiumy i aranżacja przestrzeni: Anna Januszewska

obsada: Anna Januszewska, Jacek Piątkowski, Grzegorz Młodzik

premiera: 12.09.2015

TAGI: Iwan Wyrpajew, Anna Januszewska, Szczecin, Teatr Współczesny,

 **Udostępnij**
 **Lubię to!** 50

SKOMENTUJ


Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

 jeden razy osiem jako liczbę:


KOMENTARZE (3)


Kamila Paradowska | 2015-10-14 12:34:55 # Cytuj

Pozwalam sobie odpowiedzieć już na forum na temat imion bohaterów w programie i na scenie. Otóż nie jest to pomyłka w programie, a zamierzył autor, który inne imiona umieszcza w egzemplarzu sztuki, zaś zupełnie innymi posługują się bohaterowie między sobą. Stwarza to oczywiście nowy kontekst interpretacyjny i do refleksji nad tym faktem serdecznie zachęcam. W kwestii pozaplanaryjnym i do refleksji nad tym faktem serdecznie zachęcam. W kwestii podanych pomyłek w programie wracam też uświadomienie tam cytata z wywiadu z Ingmar Bern, będący oczywiście imitacją. Przewrotność Wyrpajewa nie zna granic, proszę o więcej zaufania do teatralnych redaktorów:)


 | 2015-10-01 17:54:41 # Cytuj

Do teatralny.pl napisała pani Kamila Paradowska, kierowniczka literacka Teatru Współczesnego w Szczecinie, słusznie wytykając mi błąd rzeczowy: otóż niezbitym faktem jest, że niedziele w programie nie napisano, że szczecińska inscenizacja "Letnich os..." jest prapremierą. Co więcej, w tymże samym programie umieszczono informację o warszawskiej prapremierze. Przepraszam zatem szczeciński zespół, w tym zwłaszcza jego pion literacki, za tę pomyłkę. Natomiast kwestia niezgodności imion zapisanych w programie z tymi, które wypowiadano w trakcie spektaklu, pozostaje wciąż niewyjaśniona, jako że pani Paradowska nie ustosunkowała się do niej w swym liście. Juliusz Tyszka


Tomek | 2015-09-28 05:54:04 # Cytuj

Skąd u recenzenta ta śmiałość do pisania o czymś, czego nie rozumie? Nie dość, że nie poradził sobie ze znakomitym, wielopoziomowym i głębokim tekstem Wyrpajewa (po prostu go nie zrozumiał), to jeszcze formuluje swoje całkowicie chybzone... hmmm... przemyślenia na poziomie przeciętnego studenta zarządzania i marketingu - i to studenta pierwszego roku... Trochę więcej pokory, proszę. Mądrość przyjdzie za pokorą, czego życzę.